



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA

Jeżeli może być jeszcze puściej w Warszawie, to jest w tym czasie, w którym nikt nie powrócił dotąd, a ci, co opóźnić musieli swój wyjazd — wyjechali nareszcie.

Same urlopy i urlopy.

Najszcześliwsi, którzy urlop tylko od siebie samych i od nikogo więcej brać nie potrzebują. Wkładają pugilares napełnione rublami do jednej kieszeni, pasport do drugiej, biorą laskę i parasol w jedną walizkę wyładowaną w drugą rękę i znikają po trzecim dzwonku. Mimo to, że w Paryżu tłok i drożyzna, że w Ostendzie podobno jeszcze ukradkiem przed policją sanitarną grasuje ospa, że w górach padają deszcze, mimo wszystko: kto tylko może, jedzie w góry albo do Ostendy, do Paryża, do zagranicznych wód i kąpieli, byle tylko uciec przed ciężkimi czasami, które się zaczynają nanowo.

A my, mieszczuchy, brukowcy, dumający nad rowami kanalizacyi o wodociągach, chodzimy zawsze jedną drogą w Aleje, do Botaniki i Łazienek, — odetchnąć świeżem powietrzem i orzeźwić się po całodziennej pracy, oile nie ugrzęźniemy wieczorem w którymkolwiek ogródku, zacieśnionym, dusznym i wcale nie wonnym.

Zwrócił ktoś słuszną uwagę, że miasto tak duże, tak ludne, jak Warszawa, wzrastające z każdym rokiem, nie ma odpowiednich przechadzek, nie ma w okolicy miejsc, należycie urządzonych, gdzieby spragniony wytchnienia i wypoczynku Warszawiak mógł wygodnie spędzić kilka godzin na prawdziwym łonie natury.

Promenada, Marcelin i Sielanka, wszystko to na jednej linii przy drodze do Willanowa, muszą wystarczyć na całe lato miejskim wycieczkowiczom; jest jeszcze w odwrotnym kierunku lasek na Czystem — i na tem koniec.

Tymczasem każde większe miasto za granicą otoczone jest z różnych stron wiankiem uroczych willi, ogrodów, parków, restauracyj, szwajcaryi, połączonych łatwą i taną komunikacją ze śródmieściem, zkąd w przeciągu kwadransa lub pół godziny dostać się można o każdej porze i gdzie na takiej kilkugodzinnej willegiaturze tanim kosztem (to rzecz najważniejsza!) prawdziwie świeżem powietrzem orzeźwić i wcale dobrze posilić się można.

U nas takie zamiejskie ekskursje należą do kosztownych rozrywek; pieszo nie łatwo się dostać, tramwaj dochodzi tylko do rogatek, dorożkarz zdiera, za powóz trzeba kilka rubli zapłacić, a restaurator każdego gościa uważa za złotego dudka, którego stara się jak najwięcej oskubać.

Nie jest to wcale zachęcającem.

Gdyby się znalazł sprytny i przemysłowy przedsiębiorca, któryby gdzieś w okolicach Marymontu, Mokotowa, Królikarni, Natolina, Czerniakowa, Siekierok lub gdziekolwiek w pobliżu Warszawy urządził zakład gastronomiczny, umożliwił komunikacją omnibusami lub tramwayem, postarał się ściągnąć publiczność i poprzestał na małych, lecz częstych zyskach, nie pragnąc od razu zrobić majątku, mógłby liczyć na powodzenie i odbyć.

Dobry przykład w tym względzie dają takzwane kolonie na Saskiej Kępie, chociaż Kępa nie przedstawia szczególniejzych warunków dla amatora pięknej przyrody i pewnego komfortu w urządzeniu zakładów jadłodajnych.

Zdaje mi się, że byłby na tem dobry interes do zrobienia, ale właśnie dlatego, będzie go musiał zrobić kto inny, jakiś obcy przybysz i zagraniczny

przedsiębiorca, bo o miejscową inicjatywę w tym czy innym wypadku u nas zawsze trudno.

Alboż to raz rozbiły się u nas rozmaite projektowane przedsiębiorstwa o brak ludzi i kapitałów na miejscu?

W ostatnich czasach krzątano się około zebrań konsorcyum, któreby wzięło w swoje ręce sprawę elektrycznego oświetlenia miasta, miejsc publicznych, zakładów i domów prywatnych. Obliczano z kredką w ręce możliwe zyski przy urządzeniu centralnej stacyi, dostarczającej elektryczności, dowodzono, że przedsiębiorstwo musiałoby się i dobrze opłacić, i rozwijać pomyślnie; ale nasze trwożliwe kapitały nie miały ochoty wydobyć się z kieszeni finansistów, w których mogą beczynnje leżeć i procentować bez wielkiego zachodu.

Powiadają u nas, że czasy nie potemu, aby ryzykować; że pewniejszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu; że niechno tylko sytuacja się zdecyduje, wtedy... wtedy będzie to samo, co zawsze było.

Nasza inwencya przedsiębiorcza miewa chwile ożywienia, ale rzadko zdobywa się na oryginalność. Zakłada ktoś np. „sklep spożywczy“, sprowadza artykuły wiejskie i zaczyna mu iść nie źle: w tej chwili dwudziestu innych o niczem nie myśli, tylko o założeniu takichsamych sklepów z takimi-samymi produktami i o ile możności jak najbliższej pierwszego, jakgdyby nic na świecie już nie istniało poza wędlinami, masłem, serem krajowym i nabiałem. Gdzieindziej postawiono gorzelnię; tuż zaraz musi stanąć druga, a obok niej trzecia, bo znowu całego zbawienia w gospodarstwie dopatrzono się w pędzeniu spirytusu.

Mamy w Warszawie sześć stałych teatrów: nie dosyć tego; komus przyszła oryginalna i świetna myśl do głowy postawienia przy ulicy Marszałkowskiej w roku przyszłym siódmego baraku Melpomeny, aby w nim... takiesame bywały



puszki, jak w czterech dotychczasowych ogródkach.

W Łodzi osiedlił się z trupą dramatyczną p. Kościelecki i w tej germańskiej osadzie zaklimatyzował polską sztukę, pokonał rozmaite trudności i przekonał, że niemiecka Łódź może mieć stały polski teatr prowincjonalny.

Coś skusiło zaraz p. Puchniewskiego, aby tam urządzić konkurencją kolledze, wleźć mu pod bok i próbować szczęścia we dwóch z początkiem jesieni, po ukończeniu letniego sezonu w Warszawie.

Na co, po co, w jakim celu?... chyba na złość?... jakgdyby nie było innych miast, gdzieby dobra, niewielka trupa dramatyczna z doborowym repertoarem mogła się przez zimę ulokować.

I taksamo w rozmaitych innych kierunkach.

Rzadko spotkać się zdarza z pomysłem nowym, oryginalnym, dowcipnym, zapewniającym bez wysiłonej konkurencji powodzenie.

Do tych wyjątków zaliczyć się może ten jakiś bezimienny kapitalista, który do spółki z jakimś malarzem i restauratorem zamierza urządzić na miejscu dawnego *tingel-tanglu* w Eldorado także wprowadzić teatrzyk, ale specjalnie urządzony dla dzieci.

Swojego czasu, z celem filantropijnym na zniesionej dziś niepotrzebnie scenie Dobroczynności, urządziłem sam również takie widowiska dla naszych pociech; pamiętam, jak to w owe Niedziele o południu nieletnia publiczność tłoczyła się na godzinę przed przedstawieniem do malej salki pod godłem *res sacra miser* przy Krakowskim-Przedmieściu, jaki to bywał gwar, ruch pośród widzów, którym matki i bony ucierać musiały nieustannie nosy i zatykać buzie.

Co tam było radości, śmiechu, zadowolenia, rumieńców, roziskrzonych ocząt i oklasków z drobniutkich dłoni!...

Na każdym przedstawieniu prawie sala bywała pełną po wszystkie kąty, co dowodziło, iż dzieciom ta rozrywka bardzo do smaku przypadła, a skarbona ubogich na pewno zapełniała się groszem.

Urządzenie przeto takiego stałego teatrzyku dla naszych Milusińskich może mieć powodzenie i uczynić zadość potrzebie.

Przy bulwarze włoskim w Paryżu istnieje teatr Roberta Houdin'a, w którym pokazują różne cuda białej i czarnej magii, niksających obrazów, marionetek i t. p. rozkoszy dziecięcego światła.

U nas możnaby zastosować z pewnemi zmianami takisam program widowisk, oddawszy je wszelako pod opiekę... pedagogii.

Czytałem niedawno, że zagranicą w Niemczech, urządzono gdzieś teatr astronomiczny, w którym codziennie w sposób bardzo przystępny i zajmujący tłumaczą widzom rozmaite zagadki nieba, gwiazd, słońca i księżyców ze sceny, bądź-to w niksających obrazach, bądź też w innych demonstracjach, które popularyzują naukę.

Dorośli i maluczy korzystają z tego jednakowo, a kilka godzin tanim kosztem spędzonych w takim teatrze dają, nietylko przyjemną rozrywkę, ale i umysłowy pożytek.

Dlaczegożby nie można i u nas zaprowadzić czegoś w tym rodzaju?...

Metodą poglądową dałoby się w młode główki wiele naukowych pojęć i wiadomości wprowadzić łatwiej, aniżeli na innej drodze; przecież i nasz prawdziwy teatr daje tylko lekcje poglądowe życia i rozmaitych jego zagadnień lub objawów.

Przed kilku laty próbowano z niemałym powodzeniem ów naukowy czynnik wprowadzić na arenę za pośrednictwem... baletu. Elektryczność i magnetyzm, dwie najmłodniejsze siły, stanowiły główny motyw tańczonej *féerie* p. t. „*Excelsior*.“ Dziwię się, że dotąd nie wprowadzono na naszą scenę tej bardzo oryginalnej i zajmującej nowości, która mogłaby śmiało zająć miejsce przestarzałej „*Esmeraldy*“ lub „*Asmodeusza*“.

Stara dyrekcyja nie chciała ryzykować; nowa jest pod tym względem śmielszą i bardziej przedsiębiorczą,—co scenie już na dobre wychodzi,—może zatem i *Excelsior*, choć nieco później, powiększy skromny i mało zajmujący już repertuar naszego baletu.

Nigdy w życiu na żadnej lekcji fizyki nie siedziałem z takim zajęciem wpatrzony w tablicę i w eksperymenta pana profesora, jak na tém widowisku, które odświeżyło mi w pamięci wszystkie prawa przyciągania, odpychania, stopy i baterye, butelki lejdejskie i cudowne wynalazki od czasów Volty do Edisona.

Zawadzwszy o teatr, muszę słów kilka poświęcić kwestyi, która w tym czasie zajmuje publiczność i krytykę, chociaż nie ma tak wielkiego znaczenia, ale w martwym sezonie nabiera go z braku ważniejszych rzeczy do taniej dyskusji; mówię o kwestyi debiutów, powtarzającej się co rok o tej porze.

Z chwilą dojrzewania pierwszych śliwek, dyrekcyja zwykła raczyć nas mieszanym kompotkiem z rozmaitych niedojrzałych talentów, które inaczej smakują w ogródku, a inaczej w letnim salonie sztuki dramatycznej.

Niekiedy zdarzają się nawet kilkuletnie konserwy, których publiczność już raz kosztowała, czyli mówiąc wyraźniej bez porównań z dziedziny pani Cwierzakiewiczowej, każą nam patrzeć na debiutantki i debiutantów po parę razy w tych samych rolach i w tychsamych sztukach, jak to miało miejsce z panną Junoszką i p. Popławskim zeszłego tygodnia w „*Chacie za wsią*“, a co się miało powtórzyć z panem Chmielińskim i Rygiem według zapow edzi teatralnej reporteryi.

Nic a nic mnie to nie dziwi, że co roku znajduje się pewien zastęp młodych aspirantów i aspirantek do sceny warszawskiej, którym się przejadł chleb prowincjonalny, którzy próbują szczęścia i szukają choćby najwęższej szczeliny, aby się przez nią wcisnąć na deski pierwszego polskiego teatru; ale dziwię się i dyrekcyi, i reżyseryi, że pozwala na owe debiuty z charakterem gościnnych występów, wiedząc z góry, że one do niczego nie doprowadzą, bo w dzisiejszych warunkach etat stały musi być ograniczony i nie można go przeciążać zbyt niu balastem. Z personelu komedyi i dramatu nikt nie ubywa, a każda nowa, choćby najmniejsza siła powiększa rozchody; rzecz tedy jasna, że każda przezorna dyrekcyja, obliczająca się mniej lub więcej skrupulatnie, nie może nasłowo angażować co roku wszystkich, najzdolniejszych nawet debiutantów, których utrzymanie musiałoby ją do deficytu doprowadzić. Ograniczony budżet na to nie pozwala.

Z drugiej strony trudno jest pozbawiać się doświadczonych i rutynowanych sił, należących raz do kompletu; zatem niepodobna brać za złe dyrekcyi, że nie angażuje tak łatwo nowych artystek i artystów, ale zapytać ją można: dlaczego co roku dopuszcza ich do prób popisowych na letniej scenie, skoro wie z góry, że nikogo przyjąć nie może, albo nie potrzebuje?

Zresztą debiut bywa najczęściej łataniną repertoaru; w felietonie *Kuryera Warszawskiego* p. Kazimierz Zalewski bardzo dowcipnie i trafnie scharakteryzował genezę każdego niemal debiutu i układów z reżyseryą, która znajduje się w kłopotcie, nie mogąc zadosyć uczynić takim warunkom, aby aspirant lub aspirantka do sceny mogli się przedstawić publiczności w swojej najlepszej roli i w najodpowiedniejszym rodzaju, bo do wprowadzenia żądanej sztuki brak zwykle w porze stałych urlopów potrzebnego kompletu.

Nie można tedy wystawić tej lub owej komedyi, tego lub owego dramatu, w którym właśnie pan X, lub panna Y-lówna grają popisową rolę; kończy się na tem, że pan X, lub panna Y-lówna, pałając chęcią sprezentowania się krytyce i publiczności warszawskiej z letniej sceny, przestaje z konieczności na jakiejś rólce od biedy i robi... *fiasco*.

Publiczność patrzy, nudzi się, wzrusza ramionami i powiada sobie:

— Oho, drugi raz mnie na debiuty nie wezmą...

Zawody potem na wsze strony; zawodzi się dyrekcyja, bo ma pustki w teatrze; zawodzi się publiczność, bo za swoje pieniądze patrzy na starą sztukę i słabą grę; zawodzą się najbardziej debiutanci, bo krytyka ich „*rznie*“, a o zaangażowaniu mowy niema.

Najlepszym powiada się, na pocieszenie po występach:

— Poczekaj pan, aż się wakans otworzy.

Ale, nim warszawskie słońce zejdzie, prowincjonalna rosa oczy tymczasem wyje.

Ze wszystkich czterech debiutów, któreśmy w tym roku mieli, jeden p. Popławski, artysta teatru poznańskiego, dobrze znany ze scen ogródkowych w Warszawie, przedstawia materiały wybitniejszy; on-to kreował rolę głupiego Janka w „*Chacie za wsią*“; posiada on niezaprzeszony talent i inteligencją sceniczną i mógłby być pożytecznym nabytkiem.

Natura jednak wyrządziła wielką krzywdę p. Popławskiemu, dając mu przy tylu warunkach na dobrego artystę wzrost taki mały; na scenie to jeden z najważniejszych braków.

Można być Napoleonem Wielkim lub Kościuszką i nie trzymać miary, można być czcigodnym prezesem Akademii, jak D-r Majer, lub słynnym przeciwnikiem ks. Bismarcka w parlamencie niemieckim, jak Dr Windhorst i być jak najniższym, ale bardzo trudno być wielkim aktorem, sięgając swoim kollegom... do pachy.

Nieszczęśliwa dola byłaby naszej publiczności w tym czasie, gdyby miała tylko debiuty w teatrze letnim, jako jedyne źródło wrażeń; łaskawe losy starają się dla nas o inne sensacye.

W operze pomimo protestu niektórych krytyków, którzy z metronomem w ręku słuchają śpiewaka, Aramburo zachwyca swoim śpiewem i temperamentem tłumy słuchaczy.

W strzelnicy p. Sulistrowskiego przy Nowym Świercie ciągle konkurs, a na Mokotowie nasi sportsmani strzelają do gołębi. Dzielni wioślarze urządzają sobie amatorskie wyścigi na Wiśle do Miedzeszyna tam i z powrotem, a sprężyci cykliści trzymają się i przygotowują do wrześniowych gonitw, w których przyjąć mają udział zagraniczni współzawodnicy.

Najsilniejszych wrażeń wszelako dostarczył Warszawie zeszłej niedzieli p. Charle Leroux, amerykańnin, który z wysokości dwóch tysięcy metrów, (może trochę mniej), skoczył na ziemię i niczego sobie nie uszkodził, a stało się to przy pomocy spadochronu, pod którym śmiały aeronauta spuścił się z taką gracyą i pewnością siebie, jakgdyby urodził się bocianem, albo żurawiem.

Pan Leroux przepuścił się w powietrze balonem ucepiony u trapezu, na pewnej wysokości chwytł kółko spadochronu wiszącego przy balonie, odrywa go od linki i spada, jak kamień na dół; po kilku chwilach spadochron, wydęty powietrzem, otwiera się, niby olbrzymi parasol, i powoli opuszcza się ku ziemi, a pod nim, we fraku, w cylindrze, w białym krawacie, jak pająk na nici, wisi człowiek, jedną ręką trzymając się sznurów a drugą klanając się publiczności, której po grzbiecie ciarki przechodzą.

Amerykański aeronauta odbył już dwieście kilkadziesiąt takich napowietrznych podróży w ciągu lat trzech i spodziewa się dojść do tysiąca lub więcej, bez obawy złamania karku.

Spadochron jego wynalazku ma tę wyższość nad innymi, że otworzyć się musi, a raz otwarty zabezpiecza swego wynalazcę od wszelkiego wypadku; dawniej zachodziła ta fatalna możliwość, że ów parasol z żaglowego płótna o 24 stopach średnicy nie rozwijał się w porę i można było z nim razem spaść na łeb na szyję.

Pan Leroux zarządził temu i dzisiaj skacze z wysokości kilku tysięcy metrów z taką pewnością, jak gdyby miał skrzydła u ramion, nie obawiając się losu Ikara.

W każdym razie odwaga to wielka i chociaż mnie na Polu Mokotowskim zeszłej Niedzieli kilku śmiałków solennie zapewniało, że gotowi powtórzyć tensam eksperymet, pozwałam sobie wątpić, a w każdym razie na tę próbę nie poszedłbym patrzeć własnymi oczyma.

Przy pierwszym popisie uciekł balon panu Leroux i poszybował w kierunku Nowego Dworu za Warszawą; kłapa bezpieczeństwa, która po odcepieniu spadochronu powinna się była otworzyć i gaz wypuścić, nie otworzyła się wcale i balon zamiast spaść na dół, wzbijając się ciągle w górę, umknął w przestwory, jak ptak wypuszczony z klatki.



## KATARZYNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowieść historyczna

skreślił

Maryan Dubiecki.

(Dokończenie).

Jeśli tam spadł gdzie na pola, to go znalazły gotowi ograbić ze sznurów, jak się to już niejednokrotnie u nas przytrafiło; jeśli na lasy, to go wiatr mógł poszarpać na wierzchołkach drzew.

Pan Leroux wszelako na takie ewentualności jest zawsze przygotowanym, bo wozi z sobą trzy zapasowe statki napowietrzne.

Życzyć mu wypada jednego tylko, aby mu się zawsze... jego parasol w porę otwierał.

W Ogrodzie Zoologicznym mamy znowu wizytę kolorowych bliźnich.

Po Aszantych i Dahomejczykach Warszawę nawiedzili Ceylończycy; jest to już droga wizyta tej trupy, złożonej z trzydziestu sześciu osób, trzech olbrzymich słoni i trojga zebu, sprawiających wrażenie małych, zgrabnych, powiedziałbym salonowych byczków z garbem na plecach.

Między brązowymi w rozmaitych odcieniach wypiarzami znajdują się niektóre typy godne odzwierciedlenia w obrazie lub w posągu.

Stosuje się to tylko do mężczyzn, bo, niestety, pięć piękna haniebnie nadużywa tej nazwy na Ceylonie.

Długie włosy, zwinięte w kukielkę, kolczyki w uszach, naramienniki i spódnice, noszą zarówno obie płcie; z tego względu na pierwszy rzut oka trudno się zorientować, z kim właściwie ma się do czynienia: z mężczyzną, czy z kobietą.

Ze wszystkich dzikusów Celjończycy przedstawiają się najkorzystniej, znać na nich pewien polski cywilizacji; obnażeni są tylko do pasa, rozumieją nieco po francuzku, lub angielsku, niektórzy z nich mówią nawet biegle po niemiecku.

Tańczą, jak baletnicy, ale śpiewają, jak... nie-smarowane taczki.

Z publicznością zachowują się dość poufale, lecz z pewną delikatnością; rozdają nawet swoje bilety wizytowe czy aforyzmy na bambusowych tabliczkach i uważają sobie za użyczenie, kiedy się z nimi obchodzić, jak z... dzikimi okazami.

Wszyscy niemal mają jakiś wyraz melancholijny w oczach, jakiś smutny uśmiech na ustach, z którym byłoby do twarzy Hamletowi, *nb.* gdyby się był urodził nie w Danii, lecz na Ceylonie.

Po Ceylończykach, ściągających tłumy ciekawych do Zwierzyńca, mamy zabrać znajomość z Hottentotami, których przyrzeka nam przywieźć jakiś pomysły impresario.

Nie potrzebujemy tedy jeździć do Paryża z wydanym popolsku „Przewodnikiem“, (nakładem redakcji *Wędrowca*), aby tam na wystawie w „Alei narodów“ zetknąć się z Azją i Afryką; możemy tańszym kosztem zrobić to na miejscu, nie ruszając się wcale z Warszawy.

Na zakończenie dzisiejszej pogawędki wspomnieć muszę o pięknej uroczystości rodzinnej i fabrycznej, jaką przed dwoma tygodniami obchodziła znana firma Norblin i Werner w Warszawie; w dziedzinie naszego przemysłu nazwiska te mają już swoją tradycję. Na wyrobach platerowanych i srebrnych, które w każdym niemal domu znajdzie, od lat dwudziestu pięciu popularyzowała się firma fabryki, zajmującej dziś około sześciuset robotników. Właściciele jej obchodzili właśnie jubileusz zgodnej pracowitej i pomyślanej spółki, która ówczesnego wieku przetrwała; jednocześnie państwo Wernerowie obchodzili swoje srebrne wesele: przy tej okazji ofiarowali 35.000 rb. jako fundacją na zapomogi dla robotników fabrycznych i sierot po nich pozostałych.

Przed kilku laty państwo Norblinowie 50.000 złożyli przy podobnej uroczystości rodzinnej na utworzenie kasy emerytalnej.

Jubileuszowe święto upamiętnionem zostało serdeczną owacją ze strony fabryki dla godnych jej pryncypałów a hojną fundacją i gościnnem przyjęciem: wszystkich pracowników ze strony jubilatów.

Quis.

Czynne występowanie w sprawach publicznych uwidoczniło nowy rys w charakterze i uzdolnieniu Katarzyny. Staje ona przed nami jako niewiasta przerastająca inne współczesne; widzimy, iż się ma steru nawy państwowej i umie sprostać mężkim, twardym a ciężkim zadaniom polityki. Niemniej jednak w nowej fazie działalności zachowuje skromne mniemanie o sobie; siostrze starszej oddaje pierwszeństwo, uchyla się zwykle od przewodniczenia, steruje w ciszy, nie pragnie rozgłosu; chodzi jej o skutek, o rzecz, nie o sławę.

Do bardziej doniosłych spraw, które dla dobra przybranej podejmowała ojczyzny, zalicza się bezzaprzeczenia usiłowanie nawrócenia męża, który jeszcze z protestantyzmem niezupełnie był się zespolił.

Nawrócenie króla orzekło o przyszłości religijnej Szwecji całej. Fala protestantyzmu z łatwością spłynąć mogła w one lata ze skał skandynawskich. Była to wówczas świeża naleciałość, i do Szwecji zastosować można było orzeczenie ówczesne Commendoniego o Brandenburskiej: „Dość tu poruszyć ziemię na łokieć, by mieć pod stopą grunt katolicki“.

„Poruszano“ ową skandynawską „ziemię“, ostrożnie wszakże; do „gruntu“ nie dokopano się. Małżonek Katarzyny, król Jan III, nie był dalekim od powrotu na łono Katolicyzmu; czytywał biblię, wobec ówczesnych sporów religijnych nie zachowywał się obojętnie; ale właśnie owe czytania biblii przez niepowołanego do interpretacji budziły w jego umyśle różne wątpliwości i snuły coraz-to nowe religijne rojenia. Te właśnie rojenia stały się przyczyną, iż nie dokopano się do owego stałego „dawnego“ gruntu. Król Jan utrzymał się i nadal przy nowinkach, a Katarzyna niewzruszenie w wierze ojców pozostała.

Przychodziły w późniejszych latach wieści do Polski, iż Katarzyna chwije się w wierze, iż lat kilkanaście pobytu wśród obcych gasi ogień jej religijnego uczucia. Przesadnie nieco były te głosy. Zresztą w późniejszych latach miała ona troskliwą duchowną opiekę, czuwającą nad jej wierzeniami i nigdy nie była pozbawiona kapłana katolickiego. Towarzyszyli jej dwaj kapelani, gdy wyjeżdżała do Finlandy z ziemi rodzinnej; z czasem zaś, gdy ci się zestarzelili i, tęskniąc trawieni, wśród swoich kości złożyły zapragnęli, prosiła przeto Zygm. Augusta o innych kapłanów z Polski, bo—tłumaczyła się w liście do brata—, „gdy sam ci dwa odemnie odjadą, tedy tak Panu Bogu, jakom zmlodu zwykła i wychowana jest, i jakoby przystało, nie będę mogła służyć“.

W półtora roku po koronacji Katarzyna widzi zupełną niemożność pozyskania małżonka swego dla Katolicyzmu. Otwarcie i wyczerpująco, chociaż w niewielu wyrazach, kwestyą wyluszcza w liście do Kromera, mówiąc, iż ilekroć poruszała ową sprawę, małżonek jej odpowiadał: „jakom jest nauczone od starszych swoich, tedy tak trzymać muszę; a też, chociażbym rad, tedy poddani na to nie przyzwolą“. Słowa małżonka, który rądem jej dość powodował się, przekonywały ją o niemożności rozwiązania tej kwestyi: poruczała więc odtąd rozwiązanie Bogu, pisząc do tegoż Kromera: „A wszakże to Pan Bóg sprawić może—dać i panu i poddanym Ducha swego świętego“... Poprzestawała Katarzyna na wychowaniu dzieci w wierze i obyczajach swych ojców, starannie przy-

tem przestrzegając nietykalnego zachowywania związków rodzinnych. *Zyś i Janusia* (t. j. późniejszy Zygmunt III i siostra jego Anna Wazówna) z listów swej matki wybornie znanymi byli ciotkom — Annie i Zofii Jagiellonkom. „Zyś“ już w trzecim roku życia swego słynie wśród ciotek, jako ładne dzieciątko; opowiadają o tem sobie wzajemnie ciotki w listach, obdarzając ową „Janusię“ i „Zysia“ to uściśnieniami listownymi, to upominkami. „Zysiovi“ podobala się myśl otrzymania od ciotki Zofii „ruszniczki brunszwickiej“, i królowa Katarzyna przypomina Księżnie Brunszwickiej obietnicę zrobioną.

Tego rodzaju wskazówek o rodzinnych stosunkach, utrzymywanych z całą troskliwością, mnóstwo prześwieca w całej korespondencji naszych Jagiellonów. Stosunek rodzinny, wciąż wzmacniany, odżywiany—rozluźnieniu, przedawnieniu, nie uległ; nici związków rodzinnych utrwalają się, i lata nie wpływają na ich moc, a z biegiem czasu, kiedy nasuwają się okoliczności otwierające drogę do tronu Polski dla syna szwedzkiej królowej, Katarzyny, syn ten uważany jest w Rzeczypospolitej jako spuścizna krwi jagiellońskiej, jako cenny odblask umiłowań narodu.

Katarzyna wychowała syna z myślą, iż może się stać spadkobiercą, nietylko szwedzkiej, lecz i polskiej korony. Pierwsze wyrazy, jakich go matka uczyła, były, nie szwedzkie, ale polskie; wiara ojców i dziadów matki—jego wiarą była. Wyznawał ją gorliwie od dzieciństwa. Pobyt w Szwecji kilkoletni takich gorliwych apostołów, jak Benedykt Herbest i Stanisław Warszawicki, wzmacniał wiarę w sercu Zygmunta i niemałą sprawiał pociechę jego matce. Przynosiło to bliższe zestosunkowanie z ziemią rodzinną, do której ta matka wciąż wzdychała.

Bawienie trzyletnie Herbesta na szwedzkim dworze (1574 — 77), w charakterze spowiednika królowej, jest dobrą większej działalności w życiu Katarzyny. Czujną a pracowitą być mogła wówczas, jeszcze bowiem zdrowie jej dopisywało. Wymowa Herbesta zachwycała i podnosiła ją na duchu. Tracąc z kolei swych bliższych: brata, siostrę Zofię, widząc, jak węzły łączące z krajem i rodziną rozluźniają się, a z czasem przyzwyczajając się coraz bardziej do Szwecji, zespałała się z otoczeniem. Ciało słabnie, moralne znużenie, bodaj chwilowo, górę brać nad granitową mocą charakteru zaczyna. Słabnące siły ciała, stopniowe zdrowia gaśnięcie tak srodze wielokroć wypróbowanego, sprowadzały szczyrby w twierdzy ducha.

Szczerby wszakże pozorne raczej, niż prawdziwe były. Więcej istniało obaw, niż rzeczywistych do nich podstaw. Obawy płynęły z zacnej gorliwości Hozyusza, z troskliwości królowej Anny. Troskliwość, by prąd reformy nie wtargnął do obronnej twierdzy ducha Katarzyny, wywołała i korespondencją Hozyusza i posyłanie do Szwecji Herbesta, później zaś Warszawickiego<sup>18)</sup>. Ten ostatni dwukrotnie gościł na Sztokholmskim dworze. Poraz pierwszy Jagiellonka witała go tam, gdy przybywał (w r. 1574) z missyą od papieża Grzegorza XIII do Króla Szwedzkiego Jana, i roztrząsał z nim kwestyą powrotu tego monarchy na łono dawnej wiary. Missya nie przyniosła, jak wiemy, pomyślnych następstw. Później, w rok po wyjeździe Ben. Herbesta, znowu Warszawicki podążył na dwór szwedzki; tym razem królowa wzywała go tam. Zajął on stanowisko Herbesta, był spowiednikiem Katarzyny, mistrzem jej syna, Zygmunta, świadkiem jej długiej choroby, cierpienia fizycznych, mocy ducha, który jeszcze niekiedy blaskiem większym gorzał, i wreszcie zgonu tej pani, d. 16 Września 1583 r. Życie pełne bólu i łez, życie, na którego ścieżki los zgromadził wszystkie prawie smutki, obawy i cierpienia doli ludzkiej, w ostatnich godzinach gaśnięcia swego zakłócać było trwogą i złowrogim przecuciem...

Wyższy umysł niewiasty, serce matki gorąco miłujące dzieci, ich dobro doczesne i wieczne, w usposobieniu swej „Janusi“ przeczuwały obo-

18) Patrz *Starożytności* Amb. Grabowskiego T. II.



jętność dla wiary, w której matka żywot strawiła, w której Zygmunt wychował się i którą umiłował. Córka Katarzyny Anna, dorastająca z dziecką na dzieweczkę, w epoce, gdy oko matki, walczącej z chorobą, czuwać nad nią nie mogło—zaczęła myśleć skłaniać do protestantyzmu. Dojrzała to matka i spokój ją odbiegł w chwilach ostatnich ziemskiego istnienia...

Pożegnaniu z ziemią towarzyszyły smutne przeżycia. Myśl, iż Warszewicki sprostuje, co sprostowaniem być może, osładzała nieco troskę umierającej matki. Los zrzucił inaczej. Wnet po zgonie królowej, rząd szwedzki usunął ze swego kraju Warszewickiego i jego towarzyszy, którzy tam prowadzili misyjną działalność. Nikt nie sprostowywał już potem pojęć religijnych Anny—i wybujały one w kierunku wręcz przeciwnym wierzeniom, pragnieniom matki... Obawy jej i trwogi przedzgonne ziściły się...

Umierająca Katarzyna Bogu i Annie Jagiellonce—już wówczas ostatniej z rodziny—poruczała dolę swych dzieci. Opieka niebieska i ziemską ich nie opuściła. Polska stała się dla nich drugą ojczyzną. Dzieci, wnuki i prawnuki Katarzyny Jagiellonki w starych murach wawelskich siedzibę, kolebkę i grobowce dla siebie znalazły, trzech wśród nich koroną Chrobrego skronie swe wieńczyło, o sto lat prawie przedłużając na tronie Rzplitej tradycję krwi jagiellońskiej.

Wędrowiec, zwiedzając Uspalę, w bocznej kaplicy tamecznego tumu podziwia i dziś jeszcze wspaniały, marmurowy sarkofag, na którym spoczywa niewiasta uśpiona, lecz dłonie jej złożone jak do modlitwy. To grobowiec Katarzyny Jagiellonki... ona jeszcze i po zgonie modli się za wszystkich i za wszystko, co było jej ukochaniem na ziemi... Orły lechickie i lwy szwedzkie strzegą popiołów niewiasty, która umiała sprostać obowiązkom życia, mężnie stawiała czoło nawałnicom losu i tem mężstwem a miłością zdobyła dla pamięci swej znaczenie dziejowe.

Stojąc u stopni upsalskiego sarkofagu, widzimy, iż zmartwychwstają w naszym umyśle dnie ponure erykowej doby, bojowania Katarzyny z losem, wytrwałę stanie przy sztandarze obowiązku, co z niej wytworzyły wzór dla wieków i pokoleń.

Legendy skandynawskich ludów oddawna szatały grobowiec jej ozdobiły; u nas jeno pamięć Katarzyny Jagiellonki we wspomnieniach ogółu bardzo błado się zarysowuje.

Nawet ten gród stary, mazowiecki, co tyle wienien jej synów i wnukom, dzięki którym z nicości na stolicę urósł, a stał się znanym światu ze swej zmiennej, często trwardej doli, nie wie, zaiste, że ostatnia latorośl Katarzyny rodu, jej prawnuczka, skupiająca w sobie krew Wazów i Jagiellonów, spoczywa w jego murach<sup>19)</sup>. Przytułek obóztwa i zmiennych losów otacza popioły ostatniej dziecinny z naszych dynastii ongi potężnych, jakby na świadectwo niestateczności losów ludzi i ludów.

Maryan Dubiecki.

## KOBIETY

nad brzegami Wagu i Nitry.

(Dokończenie)

Jedna z jej powieści „Na wsi“ została nagrodzona na konkursie „Slovenskích Pohľadov“. Znanem jest także na Słowacy i cenionem nazwisko Bohdany Klemensowej, szczególnież też jej opisy z pobytu w lasach Szumawy. Mie-

19) Prawnuczka Katarzyny Jagiellonki, córeczka małutka Jana Kazimierza, Marya Teresa w r. 1661 zm. pogrzebana pod wielkim ołtarzem w kościełku Św. Teresy, w Warszawie, na Krakowskim Przedm., (obecnie świątynią ta jest kaplicą Towarzystwa Dobroczynności).

szkając jednak stale jako nauczycielka w Czechach<sup>4)</sup>, więcej ona zasila swemi pracami dzienniki czeskie. Grono, piszących kobiet powiększa córka Pauliny'ego-Totha, Marya Walaszkowa. Wydała ona i zebrała wszystkie pieśni swego ojca.

Piękne nadzieje rokuje talent młodzieńczej Ludomily Bizner, piszącej łatwym i poprawnym stylem obrazki z życia ludu wiejskiego.

W takich zarysach przedstawia się dorobek literacki słowackich kobiet. Są to wszystko przeważnie żony lub córki pastorów i nauczycieli, oddane pracy domowej i rodzinie.

Z małym wyjątkiem, odcięte od głównego punktu umysłowego ruchu, jaki ześrodkowywa się w Turczańskim Ś-tym Marcinie, myślą i działalnością łączą się wszystkie z ogólnym prądem. Podniosłym bardzo czynem słowackich kobiet jest zawiązanie w Turczańskim Świętym Marcinie dobroczynne stowarzyszenie kobiet „Ziweny“. Położyła ona sobie za cel zakładanie szkółek ochron i przytułków dla ubogich dziewczyn i kobiet. Stowarzyszone żywo się zajmują dolę wszystkich sióstr swoich, na całej słowackiej ziemi rozrzuconych. Urządzają teatru amatorskie, koncerty, odczyty, wspólne zabawy na cel dobroczynny, oraz wystawy pracy kobiecej. Urządzona w roku 1887 w Turczańskim Ś-tym Marcinie wystawa korzystnie świadczyła o ruchu i postępie, jaki w ostatnich czasach rozwinął się wśród kobiet słowackich. Wiele okazów wykończonych przez wieśniaczki, a mianowicie hafty i wyszycia na fartuchach, koszulach i stanikach, artystycznej były roboty.

Na wolnych zgromadzeniach „Ziweny“ przemawia przełożona i stowarzyszone. Słowa ich, pełne siły i ognia, zapalają słuchaczki. Pokorny w swoich „Z Potulek po Slovansku“ wspomina, że będąc raz na takim zgromadzeniu, widział jak jedna z kobiet, w braku pieniędzy na urządzoną w danej chwili składkę, złożyła jedyne swoje bogactwo: broszkę i kolczyki. Jakież to piękny i podniosły przykład, jakimież klejnotami błyszczy dusza, podobnie myślącej i czującej kobiety!

Do grona stowarzyszonych należą, nietylko literatki, lecz ogół dobrze myślących kobiet. Na wycieczkach urządzanych przez Stowarzyszenie łączą się wspólnie wszystkie towarzystwa i stany. Muzyka, śpiew i deklamacja rozbrzmiewają wśród lasów i dolin otaczających stolicę Słowacy. Echo tych pieśni płynie daleko ku wzgórzom Salwańskim i trąca o mury cmentarne, wśród których za miastem spoczywają, zwłoki Kalińczaka, Pauliny'ego i innych patriotów słowackich. Uroczystości takie nadługo zostają w pamięci uczestniczek.

Spokojne zazwyczaj miasto nabiera życia i gwaru, pośpieszniej biją serca a znane melodye Fajnora brzmiały na koralowych ustach „Slovenek“.

Działalność „Ziweny“ wielkie oddaje społeczeństwu zasługi i gdyby nie agitacja „związków“, wyższa szkoła dla kobiet oddawna byłaby założona kosztem i staraniem stowarzyszenia. W ogóle dużo energii i hartu przejawia się w charakterze Słowaczek. Pauliny-Toth we wspomnieniach swoich mówiąc o wyborach, przytacza zasłyszane od jednej ze Słowaczek zdanie „Gdyby kobiety miały prawo głosowania, nie wielu Madjarów wychodziłoby z urny wyborczej“.

Dobroczynny wpływ „Ziweny“ oddziaływa i na najniższe warstwy społeczeństwa. Napozór nie wielkie to rezultaty trudów i starań; lecz w obecnych okolicznościach wszystko, cokolwiek daje ślady życia, godnem już jest zanotowania. W ogóle lud słowacki owiele niżej stoi od czeskiego, dla wieśniaczki, kraj kończy się z granicą rodzinnej wioski; bywają jednak przykłady wyższych pojęć i uczuć. Wspominany już Rudolf Pokorny opowiada wzruszający fakt, którego był świadkiem, zwiedzając w towarzystwie Svetožara Hurbana Słowacyą. W wiejskiej chacie gospodyni staruszka, dowiedziawszy się, że jeden

(4) Dla Słowaków i o Słowakach powieści piszą również Boženna Niemcowa, Świetla i inne czeskie autorki.

z przybyłych jest synem Józefa Miłoslawa Hurbana, wzruszona, ze łzami w oczach prosiła, aby mogła ucałować ręce, syna człowieka, którego w 1848 roku znała i kochała cała Słowacya.

Smutne ekonomiczne położenie kraju ujemnie wpływa na ogół; uboższe warstwy ściągają nędza, zmuszająca setki ludzi do opuszczania kraju. Rząd sprzeciwia się emigracyi, lecz wobec nędzy cóż ma robić społeczeństwo skazane we własnym kraju na rolę paryów? Do krwawych ran zadanych ręką madjaryzacyi zaliczyć trzeba straszny rozkaz wykupywania i wywożenia biednych dzieci słowackich w głąb Węgier; oddalone od matek i rodzinnej mowy, biedne istoty zatracają swoją narodowość. Nędza zmusza nieszczęśliwe, przybite okropną niedolą matki do pozbywania się dzieci. Rozpaczliwy obraz tych strasunków, skreślił jeszcze przed kilku laty Svetožar Hurban (Wajansky) w poemacie „Herodes“. Anka i Janik, sieroty słowackie, wywiezione w głąb Węgier, uciekają z domu swego przybranego opiekuna. Spozstrzegłszy wagony kolei, chwytają się ich drobnymi rączkami i z myślą o „dedine“ którą mają niezadługo zobaczyć, umierają biedne ofiary w drodze. Słowak dla chleba zostawia za sobą doliny Wagu i szczyty Krywania, lecz ziemi rodzinnej nie zapomina nigdy. Druciarczyk, opuszczając chatę, żegnany błogosławieństwem matki, i w dalekich krajach nie zapomina pieśni, które ona nuciła mu nad kołyską. Gdziekolwiek los rzuci druciarza: nad brzegi Lemanu, w piaszczyste sapy Brandenburgii lub do kraju cytryn i pomarańcz, zapytany o narodowość, zawsze jedną na ustach ma odpowiedź: „Sem Slovak, panoczku“.

Gdyby też nie ta siła plemienna, ukrywająca się na dnie steranej niedolą piersi Słowaka, zatatrzańscy nasi bracia oddawna byłiby wykreśleni z listy słowiańskich ludów. Słowaczka sympatyczną dla nas jest siostrą. Mowa jej bliższą nam jest i zrozumialszą, aniżeli czeska. W okolicy Czacza są całe wsie, które Szembera<sup>5)</sup> polskimi nazywa. Słowaczka łagodną i ujmującą jest w obejściu; nawet zapracowane wieśniaczki nie tracą właściwego wdzięku i wesołości. Poeta słowacki Krezmery mówi, iż sześć darów każda Słowaczka daje swej córce w posagu: śpiew, dobroć, czystość obyczajów, wstydlivość, pracowitość i wesołość.

Piękne są cnoty wymienione przez poetę, lecz również piękną i szlachetną jest miłość rodzinnej ziemi i ojców mowy, jaka się przejawia obecnie w społecznej i literackiej pracy zatatrzańskich kobiet. Pielęgnowanie wzniosłych i szlachetnych uczuć w młodym pokoleniu, rozgrzewanie domowych ognisk słodkimi dźwiękami ojczystej mowy, w rękach Słowaczek spoczywa.

Wyzwolenie dziecięcych umysłów i serc spod szkodliwych wpływów madjaryzowanych szkół, to najszczytniejsza emancypacja, do której dążyć powinny i dążą kobiety na Słowacy. Literackie ich prace nie wytworzą nowej szkoły, lecz podniosłością ducha natchną szlachetną myślą niejedną rodzinę. A rodzina zacna—mówi Javorinska, poetka znad Wagu, to—ciste duse—a ciste duse, nedajń zatrzymat slovenskej narodnosti“.

Melanjia Parczewska.

## Z pieśni Adolfa Hayduka.

Piosenki słowackie!  
Wy złote ptaszyny,  
Z jakiej przybywacie,  
Powiedzcie, krajiny?  
Wasze tęskne tony  
W sercu budzą żale,  
I rzewne łzy płyną,  
Gdyby wody fale.

(5) „Zakladove Dialektologie Ceskoslovenské“ str. 79



Powiedźcie, piosenki  
Kto te wasze nuty  
Nastroił tak smutnie,  
Jakby do pokuty?  
Kto czystą krynicę  
Łzę żalu zamącił?  
Kto w fiolki i róże  
Kwiat cierniowy wtrącił?

O Bracie Słowaku!  
Ty wiesz co cię boli;  
Kto sprawcą nieszczęścia,  
Smutku i niedoli.  
Ten, co zabrał chatę, —  
Piosenki zasmucił,  
A serce jak kwiatek  
Rozłamał i rzucił.

Choć na wielkim Bożym świecie,  
Tylko stado owiec mam,  
W moich Tatrach tak mi dobrze,  
Że nie wiem, co mówić Wam.

Gdy ze szczytów rzucę wzrokiem  
Na piękność, co u stóp łśni,  
To z radości w owej chwili  
Serce śmieje się i drży.

Tamto Wagu jest dolina,  
I tam wzgórze pełne drzew  
I tam chata, gdzie dziewczyna  
Nuci o miłości śpiew.

A znów niżej kościół stary  
Widać zza cmentarza bram;  
Wśród mogiłek, skarb jedyny,  
Matka moja, leży tam.

Chato droga, ukochana,  
Pięknaś, jako wonny kwiat;  
Słowak nie oddałby ciębie  
Nawet za ten cały świat!

Tłumaczyła *Melanja Parczewska.*

## BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkic powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz do pokoju Rafała wpadła raniutko Anielka; zastawszy go nad przeglądaniem jakichś rachunków, chwyciła za ręce i całą siłą odciągnęła od nich, przez parę minut popatrzyła mu w oczy i łagodnie odezwała się:

— Ej, Rafałku, tyś coś zbroił.  
— Dziecko jesteś.  
— Dziecko, nie dziecko, ale słyszałam wczorajszą twoją rozmowę z mamą. Zgrzeszyłeś.  
— O jakież to grzechy mnie posądzasz?  
— O takiesame, jakie ciążyą na mnie.  
— Wypowiadaj mi się zatem, a dam ci rozgrzeszenie.  
— Nie, nie, ty pierwszy się spowiadaj.  
— Nie mam z czego.  
— Nieprawda, ty się kochasz, mój panie. Aha, widzisz jakie się zarumienił! Nie omyliłam się, wszak prawda?  
— Nie mam czasu na jakieś tam kochanie. Muszę liczyć, myśleć o przyszłości naszej i nie tylko naszej. Wszystkie motyle zachcianki dalekiemi są odemnie.  
— Nie prawda, nie mów tak przedemną, Rafale. Kocham cię i dlatego przeczuwam nawet to, co zamierzasz czynić. Powiem ci nawet, jak wy-

gląda ta, którą kochasz. Śniła mi się dzisiaj. Ma oczy czarne, włosy krucze, nosek zadarty — no, jest ładna!

— Cicho, papło, mówisz od rzeczy.  
— Jeśli się mylę, powiedz prawdę.  
— Ha, kiedy chcesz, to ci powiem: wistocie myślę się żenić, ale się nie kocham.  
— Jakto?—zawołała nagle, odskakując od Rafała Anielka—ja tego nie rozumiem.  
— Zrozumię z później, kiedy ci sprowadzę bratową do Zielonej, kiedy tutaj nowe zatętni życie, kiedy chłopcy zaczną się starać o twoją rękę.  
— Nie chcę, ażebyś mnie wydawał za żonę. Ja siebie sama wydam. Ja już mam konkurenta, ja już kocham.  
— Zartujesz?!

— Mówię prawdę.  
— Któż więc jest tym szczęśliwcem?  
— Twój przyjaciel, pan Antoni.  
— Co — Szydlik?  
— Tak—z mocą to potwierdziła Anielka.  
— Czy on ci się oświadczył?  
— Nie, ja jemu.  
— I on to przyjął, on tu potem znajdował się jeszcze!—Rafał zapomniał w tej chwili, że i jego podobne spotkało szczęście i że pomimo to nie myślał go odrzucać.

— Ależ to szaleństwo!  
— Tak cię to gniewa?  
— Bo tego, doprawdy, spokojnie słuchać nie można.

— No, to się pociesz, oświadczyłam mu się tylko słowami moich uczuć. On mi nic nie powiedział, ani ja jemu.

Mówię ci to wszystko, dlatego, iż spodziewam się, że nam pomożesz, że go ośmielisz, do oświadczeń wyraźnych zmusisz.

— Ani mi się śni — odparł Rafał.  
— Nie mówisz szczerze. Takim pocziwym byłeś zawsze dla mnie, takim gorącym przyjacielem dla niego...

— Ależ wy oboje nie macie...  
— To zapracujemy — była krótka i stanowcza odpowiedź. — A teraz powiedz mi, skoro ja już swoją spowiedź skończyłam, jak wygląda ta nasza przyszła bratowa? czy ładna?  
— Brzydka.  
— To pewno dobra, jak anioł?  
— Tego nie miałem czasu sprawdzić.  
— Już wiem: rozumna bardzo.  
— Prawdopodobnie.  
— Cóż więc za przymioty posiada, że ją nam chcesz dać za bratową?

— Posiada to, siostró moja, czego nam brakuje — to, co stanowi największą potęgę świata; to, co z ubogiej Zielonej uczyni raj ziemski, źródło cnót obywatelskich, przykład dla innych; to, bez czego zmarniejemy. Panna Liza Brekmann ma pieniądze.

— O, brzydki jesteś braciszku—zawołała, odsuwając się od Rafała jeszcze bardziej Anielka.— Panna Liza Brekmann?

— Baronówna—poprawił Rafał.  
— Niemka!  
— Córka człowieka nienawidzonego powszechnie.

— Rafale! ty tego nie uczynisz, to byłoby okropne! Żadna siła na świecie nie zdolna jest zmusić cię do takiego kroku. Na swe usprawiedliwienie nie masz nawet miłości. To byłoby niekzemne, podwójnie niekzemne. Kiedy przy Zielonej nie możemy się utrzymać, to wyjdźmy z niej, do pracy się weźmy, zarabiamy na kawałek chleba, jak robotnicy, ale nie kalajmy czei naszej. Matka to małżeństwo twoje opłaciłaby śmiercią, ja usunęłabym się od ciebie, byle nie patrzeć na to, jak się ludzie od ciebie odwracają. Nie, Rafale, ty zartujesz ze mnie.

Te gorące słowa Anielki tylko podrażniły Rafała.

— A — zawołał — więc znów ta głupota, więc znów te idyotyczne przesady, które gubiły nas przez tyle wieków i gubić nadal będą! Ja się krzyku gawiedzi nie lękam i wszystkim czoło postawić potrafię. Nie chcecie mię znać, pogardzacie mną: mniejsza o to. Przygotowany jestem do walki, z drogi mojej nie ustąpię, do celu pójdę, choćby przebojem, i przekonam was, że mam sł-

szność. Bez ofiar żadna idea jeszcze nie tryumfowała... Niech będą więc ofiary, skoro ich chcecie. Powtórz to wszystkim, coś odemnie teraz usłyszała; powtórz, ja chcę.

To wypowiedziawszy, Rafał nie czekał już odpowiedzi Anielki; zerwał się gwałtownie z miejsca, wybiegł do ogrodu, trzaskając drzwiami za sobą. Teraz nie go już na obranej drodze powstrzymać nie mogło.

W parę tygodni po dopiero opisanych wypadkach w Zielonej zjawił się pan Szultze i majątek zaczął lustrować.

— Kto jest ten człowiek? — zapytała Rafała matka.

— Przyszły dyrektor moich fabryk i przyszły rządcą Zielonej.

— Niemiec? — zawołała ze zgrozą pani Rajewska.

— Genialny gospodarz i przemysłowiec — poprawił syn.

— Rafale, dokąd ty idziesz?  
— Idę tam, gdzie mi nakazuje rozum.

Znów w parę tygodni potem pani Rajewska zauważyła przyjazd do wsi kilkunastu rodzin niemieckich; milczała już jednak, bo Rafał w żadne dysputy wdawać się nie chciał.

Przez ten czas zdążył się oświadczyć Lizie, być przyjętym i oznaczyć dzień ślubu.

Według dawnego zwyczaju pani Rajewska obowiązana była podziękować hofratowi za szczęście, jakie spotykało jej syna.

Rafał nie proponował tego nawet matce, bo z góry wiedział, że propozycja przyjęta nie zostanie; hofrat zaś uważał, że nie przyniesie to żadnej ujmy jego godności, jeśli z Lizą pierwszy do Zielonej pojedzie.

Przybywających z pierwszą wizytą przyjęła tylko Anielka, pani Rajewska bowiem przeleżała cały ten dzień w łóżku.

Niezadowolony dygnitarza austriackiego z tego powodu było wielkie. I on i Liza wyjechali z Zielonej z nadąsanemi minami.

— Matko—wyrzuciłaś mi wczoraj przykreść—zawołał Rafał, wchodząc nazajutrz do sypialni pani Rajewskiej. — Ludzie, którzy raczyli nasz dom odwiedzić, staną się w przyszłości moją rodziną, a więc tak jak mnie i ich szanować należy. Spodziewam się, że mamie jutro ta choroba ustąpi, pojutrze złożymy rewizytę baronowi.

— Nigdy—spokojnie z drgającymi od bólu ustami, ale stanowczo, odrzekła matka.

— Cóż to, opozycya?!—zawołał tonem groźnym i szydzącym Rafał; ale na ten pełen brutalności okrzyk odpowiedzi już matki nie otrzymał. Natomiast Anielka zerwała się ze swego siedzenia, podskoczyła do brata, i patrząc mu bystro w oczy, zawołała:

— Rafale, ty śmiesz w podobny sposób odzywać się do naszej matki?! Słuchaj: jedno słowo podobne tym, jakieś wyrzekł, a przysięgam ci na pamięć ojca, zabiorę ją, Józję i pójdę w świat, gdzie mnie oczy poniosą. Wprowadzaj wtedy na nasze miejsce Niemców, szargaj nazwisko, ale nas szanuj, rozumiesz: szanuj, bośmy szacunku godni!

— Anielo!—zawołał porywczo Rafał.

— Nie skończyłam jeszcze, powiem więcej. Gdyby nasza kochana matka znalazła w swym sercu dostateczną siłę i zgodziła się odwiedzić tych ludzi, to ja jej uczynić tego nie pozwolę, — słyszysz?—nie pozwolę. Położę się na progu naszego dworku i nogi jej całując, wołać będę matko: miej litość nad dzieckiem swoim.

— Nie zaśzczycę cię odpowiedzią i tłumaczeniem się z moich postępów; to, co czynię, jest nieogfionne. Nie chcecie znać rodziny mojej przyszłej żony: dobrze. Uważam tylko za stosowne przypomnieć wam, że tutaj, nie tylko synem, bratem, ale i panem także.

Były to ostatnie słowa Rafała wyrzeczone do matki. Gdy wyszedł z pokoju, pani Rajewska, chwytając się za głowę, zawołała:

— Biednaż dola nasza!  
Anielka starała się uspokoić jej boleść.

Wśród starań o brzydką hofratównę Rafał zupełnie zapomniał o Jadzi.



Wieść o postanowionem małżeństwie rozbiegła się po mieście, a więc doleciała i do uszów dawnej towarzyski jego lat dziecinnych i pierwszego ideału młodości.

Co taki drobny robaczek mógł znaczyć przy takich wielkich planach? Rafał zapomniał, że Jadzia istniała kiedykolwiek na świecie.

Wszystko szło dobrze, w Zielonej fabryki wzrosły się szybko, Rafał był zadowolony. Złote obrazy przyszłości snuły się przed jego oczyma, widział się już panem licznych fabryk, milionerem. Z czasem coraz mniej mówił o ideach i idealach, a coraz więcej o interessach.

Na parę dni przed ślubem zaszedł do mieszkania swojego przyszłego teścia; nie wpuszczono go wprost do Lizy, jak zwykle bywało. Służąca powiedziała mu, iż panienska ma gościa i prosi, aby na nią w sąsiednim poczekał pokoju.

Usadowiwszy się tedy wygodnie w fotelu, czekał Rafał na przybycie Lizy.

Naraz drgnął. Z sąsiedniego pokoju do uszu jego doleciał głos dobrze mu znany; mówiła najpierw Liza:

— Zobaczysz, jak ja ten ich świat przerobię, jak zmienię polski nierząd na niemiecką gospodarność i porządek, niedołęgów, próżniaków usunę i mogę cię zapewnić, że w całej Galicyi nie będzie jednego majątku, w którymby tak wszystko szło składnie, punktualnie i dobrze jak umnie, w Zielonej.

— Wszystko jest w tem twojem gospodarstwie— odpowiedział głos drugi, znany Rafałowi — tylko serca w nim braknie.

— Ach, serce... Zlituj się, ty dzisiaj jeszcze o tem marzysz, czyż dziś można się ludzię? Czyż myślisz, że na jedną choćby sekundę przypuszczam, iż przyszły mąż mój byłby moim, gdyby chciał słuchać głosu swojego serca, a nie głosu swojego rozumu? Oceniam rzeczy, jak należy, wiem co one są warte i nie oszukam się na niczem. Widziałam wiele małżeństw, które się pobrały z gwałtownej miłości i kończyły na wzajemnej nienawiści; i odwrotnie, widziałam wiele, opartych na szacunku, który zapewnił im trwały spokój na całe życie.

— Dobrze, dobrze,—wierzę już temu, ale jakże wygląda ten człowiek, który przez rozum tylko podaje ci rękę na wędrówkę całego życia? Nie, nie, ja temu nie wierzę. Rafał cię musi kochać.

— To Jadzia—szepnęła do siebie Rafał.

W jej odpowiedzi czuć było taki ból straszny, takie widoczne silenie się na spokój, że zauważyła to Liza, odsunęła się nieco od dawnej przyjaciółki i wpatrując się w jej drgające policzki, w lęz zawieszoną na rzęsach, jakby uderzona nagłą myślą, zawołała:

— Ach, dajmy pokój tym wszystkim zwierzeniom. Zdaje mi się, że ktoś dzwonił. To pewno on, chodźmy.

I jeszcze Rafał nie miał czasu otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarła na nim podsłuchana rozmowa, gdy Liza i Jadzia ukazały się razem w salonie.

Ta ostatnia zoczywszy Rafała, podeszła ku niemu, wyciągnęła rączkę i szepnęła:

— Usłuchałeś pan rady mamy, żenisz się, przyjmij więc od tej, która patrzyła na najpiękniejsze lata twojego życia, życzenia prawdziwego szczęścia. Ja będę się modlić za pana szczerze i gorąco.

I dalej Jadzia już mówić nic więcej nie mogła. Ucisnęła Rafałowi rękę, odwróciła się, i szybko zniknęła z pokoju. Liza nie zatrzymywała jej, a gdy się drzwi za nią zamknęły, rzekła do Rafała:

— Ona kochała pana.

— Nic nie wiem o tem — była obojętna odpowiedź.

— Co słyhać w Zielonej?

— Tartak już prawie stoi, mury fabryki także niedługo pod dach wyprowadzę. Szultze jest genialnym człowiekiem. Jakże ja pani za to wszystko wdzięcznym będę!

— A matka pańska?

— Cierpiąca.

— I prawdopodobnie z tego powodu nie będzie na naszym ślubie?

— Tak pani, niestety.

— Siostra pańska także cierpiąca?

— Pani o tem wątpisz?

— Wątpię, ale nie dziwię się temu wcale. Ho, ho, nie tak to łatwo jeszcze waszym szlacheckim damom przyjąć do swojej rodziny intruza! Jestem jednak spokojną, że przywykną do mnie z czasem, przywykną.

I na tem skończyła się cała ciekawość Lizy względem rodziny Rafała.

Potem wysłuchać musiał całego szeregu objaśnień o wyprawie, o jej kosztach, potem wypił herbatę, potem na pożegnanie rękę Lizy i ramię hofrata ucałował i poszedł pod „Złotego Anioła“, by spokojnie dzień swój zakończyć.

Na skrócie ulicy oko w oko spotkał się z Józkiem.

— Rafał!

— Jak się miewasz, Józefie?—zawołał Rajewski, wyciągając rękę na powitanie; ale szkolny kolega jakoś tym razem nie kwapił się z odpowiedzią; rękę swoją cofnął w tył i zimno po chwili rzekł:

— Za pozwoleniem, mówiono mi o tobie potworne rzeczy.

Rafał się swobodnie roześmiał i odparł:

— Chodź na kieliszek szambertyna, przyrządzisz mi twoję wspaniałą mieszaninę, opowiem ci wszystko.

— Przepraszam cię, ja piję szambertyna nawet za pieniądze moich przyjaciół, ale pić nie chcę za lajdackie niemieckie pieniądze, chyba, że zaprzeczysz wieściom o twej żeniączce z Brekmanówną.

— Nie zaprzeczam; to najprawdziwsza prawda.

— Zatem bądź zdrów, panie Rafale Rajewski—zawołał Józio—odtąd już ciebie nie znam.

— Głupiec — syknął Rafał i w tej chwili miał już na zawołanie wszystkie swoje wzniosłe teorie.—Mój Boże, z czemuż to u nas trzeba walczyć, gdy się człowiek bierze do przeprowadzenia jakiej idei!—dodał w końcu.

Oj, smutna jest dola nauczyciela wiejskiego w Galicyi! I nie wesołem też było życie Szydlika, zwłaszcza z początku jego nauczycielskiego zawodu, gdy osiadł w rodzinnej wiosce, Abramowicami zwanej, a położonej o parę mil od Zielonej.

Zanim zdołał do swojej szkoły ściągnąć pierwszego ucznia, napocił się niemało.

Na wieczorynkach rozповідаł ciekawe historie; w każdej chwili myślał o ziemskich sprawach gromady: tego objaśnił, jak łatwo dochować się olbrzymich buraków; owemu, jak z dzikiej płonki ładny i smaczny owoc wyprowadzić; innemu znów ciele z choroby lub krowę wyleczyć; jednym słowem: przez długi czas był wszystkim dla wioski, ale do szkoły jeszcze było daleko.

Już i potężne buraki wyrosły i owoc na drzewie się przyjął i żydkowie za to wszystko sporą ilość ewancygierów nanieśli, ale o pobudowaniu szkoły w wiosce gmina i słyszeć nie chciała.

Jeszcze jak była mowa o chlebie, to każdy z wioskowych gospodarzy zgodził się na zsypanie do spichrza Szydlikowego pewnej garstki swoich zbiorów, ale gdy wspomnieli o szkole, wołali:

— Fiu, fiu, chałupa, czego mu się to chce!—i dziwili się, że są na świecie takie chłopcy, co to nie dla siebie domy darmo budują.

Koniec końcem Szydlik zaczął się pakować do drogi. Gromada wtedy dopiero przyszła do przekonania, że bez niego źle będzie we wsi; rzuciła przez parę tygodni i w końcu szkołę wybudować postanowiła, wyznaczając i grunt dla nauczyciela.

Teraz dopiero Szydlik pokazał co umie, gdy zaczął na swoim gruncie wprowadzać w czyn to wszystko, czego nauczał.

Szkoła jego stała się wzorową fermą.

Interessa Rajewskich zabrały mu sporo czasu. Do wioski własnej z Zielonej powrócił smutny zamyślony i zdwojoną pracą usiłował koić tęsknotę za Anielką.

Uczucie jego dla dziewczęcia było wielkie, potężne, ale bez pragnień i bez marzeń o jutrze. O tem jutrze myślała tylko Anielka, dla której ten człowiek był uosobieniem ziemskiej doskonałości. Od chwili jednak, gdy po ostatniej rozmowie z Rafałem matka na zdrowiu podu-

padła, gdy Rafał do jej i siostry pokojów nie zaglądał, nie miała nawet z kim o tem swoim wielkiem uczuciu pomówić.

Nadszedł dzień ślubu Rafała. W wigilię odwiedził on budoar matki; był poważny, surowy i chłodny.

— Matko, zawołał, wchodząc — oto jestem z prośbą po twoje błogosławieństwo.

Była to jednak czcza forma tylko, powtarzał frazes ustami, ale nie miał go już w sercu. Gdy jednak spojrzął na twarz matki zapadłą, na oczy jej zamglone, uczył coś naksztalt wyrzutów sumienia, a chociaż siłił się aby je przytłumić, nie udało mu się to tym razem jeszcze. Głos mu zadrgał, wzruszenie go opanowało i szepnął nieśmiało:

— Tyś chora, matko?...

— Czas już zbliża się i na mnie; trzeba pożegnać wszystko i pójść za innymi.

— Co też mateczka mówi!...

— Tylko prawdę...

Rafał zamilkł, nie wiedział przez chwilę, co dalej mówić, w końcu odezwał się:

— Jutro mój ślub.

— A więc się żenisz?... jęknęła pani Rajewska.

— Tak, czynię to dla przyszłości, dla idei moich.

— I oszukasz się na nich, życie zmienią ci one na piekło, zmarnujesz resztkę ojcowizny i łzami gorzkimi oplacisz to, co dziś wydaje ci się zbawieniem. Ja już na to patrzeć nie będę, ale pamiętaj, że tam na cmentarzu spokoju chcę... Czy go znajdziesz?... Żadasz odemnie błogosławieństwa: niechże ci ono towarzyszy. Jako matka odmawia ci go nie chcę, ale w skuteczność jego nie wierzę. Wszedłeś na drogę, z której powrotu niema... Ha!... trudno... pamiętaj jednak, że z grobu nawet błogosławieństwo swe cofnę, jeżeli siostry skrzywdzisz.

— Matko, co za przypuszczenie!

— Długi nabył wszystkie hofrat, kapitały swe zabezpieczył, tak, że niewiele się dla nich zostanie dałam ci pełnomocnictwo do wszystkiego...

— Ale to wszystko szybko się podniesie. Dochodami z fabryk długi te spłacę, Anielce i Józki posag spory zabezpieczę.

— A jednak z niepokojem umierać będę.

Rozmowa stawała się coraz przykrzejszą. Rafał przerwać ją chciał, ukląkł więc przed łóżkiem matki i całował jej ręce. Po chwili nad głową jego uczyniła krzyżyk, a widząc, że perswazyje nie już nie pomogą, modlitwą kończyła życzenia swoje dla syna.

Gdy za Rafałem drzwi się zamknęły, szepnęła do siebie boleśnie:

— Nie o takiej ja przyszłości marzyłam dla ciebie, mój synu. — I twarz jej bardziej jeszcze zapadła, gorączka się zwiększyła, bezsilność przyszła.

Koniec życia tej kobiety widocznie się zbliżał. Przelękniona Anielka wysłała szybko list do Szydlika, wzywając go, aby przybywał.

Naturalnie, że na wezwanie przybył on natychmiast, co wpłynęło bardzo na poprawienie się humoru chorej.

— A—zawołała—jak to dobrze, że ja pana widzę. Ty jeden nie dasz zginąć reszcie moich dzieci, z których jedno straciłam. Umierający widzą podobno to, czego żywi dojrzeć nie umiemy. Ty kochasz Anielkę, ona ciebie, ja to czuję; zabierz ją ztąd. Wy się zgodzicie razem, wam dobrze będzie na świecie; gdy się to stanie, oczy przynajmniej spokojnie zamknę.

— Matko, — jednocześnie szepnęli Szydlik i Anielka.

— I jeszcze jedną mam do ciebie prośbę. Przeczuwam, że on, że Rafał smutnie skończy. Strzeż go, nie daj mu się utopić w błocie, jeśli będziesz mógł — ratuj.

Były to ostatnie przytomne słowa pani Rajewskiej. Nazajutrz pod wieczór zakończyła życie.

Stało się to tejsamej prawie godziny, w której Rafał łączył swe losy z córką hofrata, baronówną Brekman. W parę godzin po ślubie otrzymał wiadomość o śmierci matki przez umyślnego posłańca.



Nie zakommunikował jej nikomu, ale do osobnego pokoju wyszedł i w smutnych pograżał się myślach.

Tejsamej jeszcze nocy, gdy program weselny wypełniony został, opuścił Rafał miasto wraz z Lizą.

Zastali panią Rajewską na marach, przybraną do trumny; siostry i Szydlik przywitani się z nimi obojętnie.

Przez czas pogrzebowych obrzędów Szydlik nie rozmawiał wcale z Rafałem.

Jego obojętność, udana czy prawdziwa, w takich warunkach wydała się Szydlikowi potworną. Pomimo to, gdy ciało złożono do grobu, zjawił się w gabinecie kollegi.

— Dziękuję ci za poniesione trudy przy tym smutnym obrzędzie — zawołał Rafał, ujrzawszy dawnego przyjaciela.

— Niema za co — odparł Szydlik — nie przychodzę tutaj po podziękowanie, ale w interesie twej siostry.

— Mejsiostry?

— Tak, chcę prosić cię o jej rękę.

— Chyba żartujesz, kollego.

— Nie żartuję nigdy z rzeczy poważnych.

— Ależ mój kochany, nie posadzaj mnie o jakieś przesady: z tych dawno się już wyleczyłem; ale mi idzie o jej byt, i nie rozumiem, jak ty, człowiek tak trzeźwy zawsze, możesz mi taką stawić propozycję. Nie masz nic, posagu teraz nie wypłacę, bo nie mogę: z czegoż więc żyć będziesz?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXIV.

**Herr Krebs**, komedia w 3-ach aktach, przez *Es-Em-Era*. — w Wodewilu.

**Odwiedziny**, komedia w 2-ach aktach, *Edwarda Brandesa*, tłumaczona z duńskiego przez pannę *Józefę Szabekę* — po raz pierwszy w Teatrze Letnim d. 27 Lipca.

**Nowa Francillon**, fraszka w 1-ym akcie, *Ryszarda Ruszkowskiego* i *Ad. Abrahamowicza* — w Teatrze Letnim; występ pani Czyżkowskiej, artystki teatrów prowincjonalnych.

Nie pisałbym o *Krebs'ie*, „bo pierwsze koty za płoty“, gdyby autor jego pamiętał był o tem arcy-mądrym przysłowiu; gdy jednak inaczej się stało, muszę wziąć pióro do ręki, nie pomimo to, ale właśnie dla tego, że sztuka jest pierworodnym dziecięciem żądzy pisania, nie tylko dla czytelników, ale i dla widzów. Dotychczas znano *Es-Em-Era* jedynie jako autora dość zajmujących opowiadań w *G. Polskiej* p. t. *Dobra partyja*. Wtajemniczeni głoszą, że poczynający pisarz ma już w zasobni swojej utwor powieściowy większych rozmiarów, o rozlegle zarysowanych liniach myśli i życia, napisany rozumnie i wybitnie. Zdanie to wygłasza dotychczas dopiero zyczliwość; potrzeba jeszcze, aby je od siebie także powtórzyła krytyka, jeżeli powieść doczeka się druku. Okazałoby się wtedy to, czego nie widać po *Krebsie*: *Es-Em-Er* może być powieściopisarzem; dramaturgiem chyba już nie będzie.

Nowej komedii utworem nawet nazwać nie można. Jest to robota zszywana z kawałków lepszych — humorystycznych i gorszych — nudnych. Braknie jej podstaw prawdopodobieństwa w życiu, ciągłości wypadków i czynów, logicznego związku i nieodzowności scen; braknie charakterów; braknie techniki scenicznej — jednym słowem: wszystkiego, bez czego pisać można, ale dla sceny tworzyć nie podobna. Pobudki w ludziach są równie wątpliwe wobec prawdy, jak niejasne wobec przedsięwziętych czynów. W każdym utworze musi być jakaś główna przygoda, — coś,

co się dzieje, zawiązuje, rozwiązuje; w *Herr Krebsie* dzieje się i wszystko i nic, a to, co jest, płacze się tylko i gmatwa. Chwilami ma to być komedia poważna, w której ludzie z góry już widzowi nie wrzeszczą, że po to tylko przyszli, aby go zabawić, lecz, istniejąc dla samych siebie, bezwiednie, jak w życiu, samym sposobem tego istnienia bawić go muszą; to znowu wyłazi nawierzchni jakiś koncept układu, jakaś niezdarność, przesada, nieprawdziwość, pomysł niby śmiały a właściwie dziki (nagle wtargnięcie Biedrzyckiej w II akcie) i jak istne *enfant terrible* zdradza tajemnicę sztucznych zębów, przypiętych warkoczy, pomalowanej twarzy, przeróżnych innych dodatków podnoszących kształty i naśladujących naturę prawdziwej komedii.

Gorszą jest jeszcze od tego nieładu i nierządu w architektonice zupełna prawie nicość, niezgłębiona próżnia charakterów, a najgorszym już brak tej miłości, jaką pisarz dramatyczny mieć musi dla całokształtów ludzkich uczuć, myśli, popędów, wyobrażeń, stosunków — dla człowieczych wnętrzy tych postaci, które się już z samych ruchów zewnętrznych zarysowują. *Es-Em-Er* nie dba wcale o ludzi; idzie mu tylko o naprężone położenia, o sceny żywe, o koncepty wesołe i w scenach i w dyalogach. Jego ludzie są automatami, przypominającymi głowy mówiące. Przychodzi to mizernictwo jedno po drugim i w różnych momentach dramatu wygłasza co mu podpowie autor, — nie pozbawiony humoru, dowcipu i potoczności wysłowienia; ale złożyć z tych różnych chwil i przejawów jedno ciągle istnienie — niechaj się nikt nie kusi. Gdyby jeszcze brak charakterów okupywały same wypadki; ale gdzie tam! Co innego się toczy w akcie pierwszym, co innego w drugim, a trzeci, niby do pierwszego przystający, właściwie także inną nakręca się sprężyną. Są w tej sztuce takie dziwactwa, nieprawdopodobieństwa, nadmiary i niedomiary, takie mielizny, że tylko żałować potrzeba, iż *Es-Em-Er* nie poszedł za mądrą radą, jaką mu dawała skarbnica przysłów narodowych.

Muszę być człowiekiem głęboko niemoralnym, skoro w niemoralnych *Odwiedzinach* wcale niemoralności nie dostrzegł. Nie zastrząsam się od grozy, gdy mąż, dowiedziawszy się o przed-mażeńskim błędzie żony, wypędziwszy uwodziciela jej, sprowadzonego *ad hoc* przez autora, i skazawszy ją samą na wygnanie zpod swego dachu, mięknie później i odwołuje wyrok, gdy mu ta żona przypomniała prawo matki do dziecka i los dziecka bez matki. — A samo tylko to przypomnienie jeszcze nie wystarcza Neergardowi (p. Kotarbiński) do wyrzeczenia się odwetu: długiego, ducha szarpiącego błagania potrzeba, aby mężczyzna skrzywdzony mógł wyrzucić tę najczarniejszą swą siłą, jaką mu daje moc przebaczenia. Gdy już wreszcie przebaczył, wie, że ognisko domu własnego będzie mu odtąd lodowatym biegunem, a sielanka małżeńska — do krwi rozdierającym wspomnieniem. Czyby wygnął żonę, czy nie, jego szczęście w każdym razie samo już poszło na dobrowolne wygnanie.

Nieprawdaż, że niemoralny jest ten p. Neergard? A jego żona, Florizel (panna Marcello)? Śmie wogóle bronić się, a broni się nieświadomością czynu, znużeniem, przygnębieniem, niedolą, żywością usposobienia; wreszcie — jeszcze przed tragicznym odkryciem, na które składa się bezczelność uwodziciela i podejrzliwość męża — rzuca słówko o równouprawnieniu, zdradza się z nieśmiałością swych upodobań, z zamiłowaniem podróży i wogóle z tak niepożądaną dla mężów nerwowością i *temperamentem*. Któżby nie wiedział jak sam ten wyraz jest już niebezpiecznym dla moralności?

Wprawdzie z ust tej kobiety płyną słowa miłości czystej, jedynej, wytrwałej; z piersi jej wydziera się przerażający krzyk sumienia i prośba o zmiłowanie; ręce jej wyciągają się do męża w rzetelne a bezwzględne do niego przywiązaniu; wprawdzie przyszłość bez Neergarda przedstawia się jej jak jedna, w mrok wieczny spowita pustynia; wprawdzie dusza jej nienawidzi sprawy nieszczęścia, węzowe jego podszeptu z ogniem bezwiednego wstępu a stałością świadomości już wyznawanych zasad odrzuca — ale to wszystko nie

uratuje już ani moralności, ani dążności sztuki; pisał ją brat bezwyznaniowca i sam bezwyznaniowiec, brat radykalisty, i sam radykalista w polityce i w literaturze; pisał ją Edward Brandes, brat owego Jerzego, którego samo nazwisko wystarcza do poruszenia całej klawiatury w harmonijce idealizmu warszawskiego. Jakżeby sztuka poczęta w takiej potępionej głowie mogła nie być niemoralną w charakterze swoim a szkodliwą w dążności?

Naigrawanie się ze zdrowego rozsądku, czy niezrozumienie utworu? Ani jedno, ani drugie; tylko gra na owej harmonijce, zabawka w konwencyonalny idealizm, — rodzaj *cerf-volant* — nic więcej. W każdej sztuce Dumasa, a w niejednej sztuce naszej, prawa moralne, nawet napozór, większej doznają obrazy, a fala oburzenia bardzo tylko łagodnie wzbija się nad poziom spokoju; ale tu wystarcza sam już temat przy nazwisku autora do rozżarzenia świętobliwego ognia. Jest to jedna z dróg ducha: myśl zaprzędana w niewolę namiętności stroniczej.

Nietylko niemoralności, ale i tendencyjności t. j. chęci podbicia widzów pod jakąś teorią, o której prawdziwości autor potrzebowałby dopiero ludzkość przekonywać — niema zgoła w sztuce *Edwarda Brandesa*. To, co się w niej dzieje, nie wykracza z obrębu pojęć i wyobrażeń tak głębokich i powszechnych, że się już uczuciami stają. Żadnej nowej teorii obyczajowej, żadnej nowej moralności: co było prawem, to i jest prawem — jeżeli mają być prawa. Nawet i w tem dzieje się postaremu i jak zawsze bywało, że Florizel nie ma odwagi wyjawić strasznej swej tajemnicy przed mężem i dopiero przypadek zdziera z niej zasłonę. Czy i to ma być niemoralnością — niby oszustwem? Niechaj odpowiedzą kobiety najuczciwsze — czy taka uczciwość nie byłaby już tryumfem nad naturą ludzką, nad prawem do życia, nad życiem samem, i do pewnego stopnia aktem śmierci? I czy znowu przyczyniłyby się do zmniejszenia męczarni duchowej człowieka skazanego już w każdym razie na wytrzymanie wzroku Gorgony?

Dramatyczna wartość *Odwiedziny* jest niejednostajna. Pierwszy akt daje nam poznać charaktery i stosunki i toczy się w samych dyalogach; ludzie rozmawiają spokojnie, potocznie, gładko, zręcznie, dość obrazowo, miejscami żywo — choć może za długo; działać jeszcze nie zaczynają. Gdyby wstęp taki poprzedzał sztukę pięcioaktową, byłoby mu z tem lepiej. Za to cały akt drugi jest rzetelnie dramatycznym i tylko zawiść mogłaby nie uznać jego istotnych zalet jako utworu scenicznego. Zapomina się wobec tej głębokiej tragiczności o naciągnięciu spotkania, o chwilejności samej przygody, która nie mogła ze strony cynika Repholta zakończyć się wraz pierwszym rozstaniem: ma się przed sobą tylko ludzi walczących cierpiących i ulega się przyciągającej sile ogólnej ludzkiego współczucia — co jest właśnie tryumfem sztuki.

W *Odwiedzinach* błąd występuje właściwie jako wielkie nieszczęście, i tak dzieć się musi i powinno z wszelką winą w tragedii. Ani lepszej psychologicznej prawdy, ani lepszego literackiego jej wcielenia żądać nie potrzeba; można tylko, gdy się jest twórczym, mówić sobie: „Ja-bym to tak, a tak, zrobił“. Akt drugi *Odwiedziny* jest jednym z najwybitniejszych ustępów w dramaturgii współczesnej. Neergard świetny, a Florizeli braknie tylko większego ześrodkowania, większej zwięzłości w błagalnej rozprawie z mężem.

P. Kotarbiński jako Neergard ma wiele właściwej prostoty i przeciętności człowieka, który umie dbać o swój honor i mścić się za zniewagę, ale podniosłością umysłu i polotów życia nie grzeszy. W akcie pierwszym, przy całym spokoju graniczącym już z flegmatycznością — przydałoby się a tyście w niejednym miejscu więcej żywości. Tonem panującym w duszy zamożnego ziemianina fińskiego nie jest flegmatyczność, lecz tylko pewien chłód życia, otrząskanie się z niem i wytrawność, będąca zazwyczaj w wielkiej gromadzie ludzkiej tylko dobrą firmą dla rzeczy niedobrej: wyiębienia uczuć, zużycia i przesytu. W akcie drugim zbrakło raz artyście siły głosu, ale nastrój był odpowiednim. Rola jest bardzo wdzięczna i zasługuje na to, żeby się do niej



przywiązać.—Panna Marcello zanadto pozwała obliczu swemu odbijać wzruszenie serca na widok niegodziwca; miała też i ona swoją niedobra chwilę w akcie II, gdy już i sam nastrój głosu był zupełnie fałszywym i siła odmówiła posłuszeństwa. P. Ładnowski bardzo dobrze opowiadał i rozmawiał w akcie I; on go też głównie ożywia. Gra ukazywała z pożądaną wypukłością nieporządną, niesumienną naturę Repholta. Z lichego wypędzania przez Neergarda nie mógł artysta nic zrobić, ale jakikolwiek objaw gniewu przydałby się na tę chwilę roli.

Miłą jest dla krytyki skromność autorska w klasyfikowaniu własnych utworów. Zasłużyła już na polu drobniejszych scenicznych współka pp. Abrahamowicza i Ruskowskiego nowy swój produkt, *Nona Francillon*, nazwała fraszką. Jest to w samej rzeczy fraszka, której szkodzi to, co i poprzednim nie pomagało: przesada w rysunku. Strzały tej rycerskiej spółki idą zawsze górą; gdyby padały bliżej środka, autorowie zasługiwali by się lepiej publiczności przychodzącej do teatru po śmiech. Arcy-naiwna Nowa Francillon chce naśladować bohaterkę sztuki dumasowskiej; płacze się w ten zamiar jeden zdechłak, zarzucany przez panie całymi funtami pastylek od kaszlu, i stara trzęsąca się ruina dandysa, który z dumą mówi o sobie, że w 1852 roku wyglądał taksamo, jak dzisiaj. Wesołości w tem dużo, ale zadowolenia byłoby więcej przy większym prawdopodobieństwie.

Pani Czyżkowska ma twarz, nie piękną, ale wyrazistą, oko bardzo żywe, głos dzwiczny, ruchy zwinne, ma temperament, ma nawet obycie się ze sceną — choć znać nieraz, że tylko prowincjonalną; ale czy byłaby siłą dodatnią dla stałej naszej sceny? — tego z jednej roli, a jeszcze tak marnej, jak Nowa Francillon, poznać nie podobna.

*Stanisław Krzemiński.*

## MYŚLI.

— Głównem zadaniem każdego pokolenia jest zrozumieć ducha swego czasu.

*Rossi.*

— Duch czasu zawsze był, jest i będzie po-  
tężniejszym od przesądów przeszłości.

*Schlosser.*

— Rozum nasz ma prawo do pracy dla przyszłości, gdyż istnieje on na to, aby wywołać nowe, lepsze ukształtowanie się społeczeństw, a nawet natury.

*F. A. Lange.*

— Kraj, który chce pozyskać dobrobyt, powinien wyrabiać w sobie siłę potemu i nie cofać się przed żadną, choćby największą ofiarą, dla postępu.

*Loveley.*

— Człowiek posiada możność kształcenia się bez względu do jakiej rasy należy. Kształcąc się, zdobywa sobie potrzebne zdolności.

*Leveley.*

— Jest rzeczą nieuczciwą korzystać bezczynnie z rezultatów pracy innych. Przyszłe społeczeństwa dziwić się będą, że tacy ludzie mogli istnieć.

*Herbert Spencer.*

— Przystępstwo i nędza są skutkiem pomyłek ludzkich, a nie praw boskich.

*Carey.*

— Trzymajmy siebie i wszystko w porządku. Od koła lawety może zależeć wygranie bitwy.

*Garfield.*

— Praca i wiedza tak są ściśle spojone, tak zrosłe ze sobą, że, zrzekając się pracy, człowiek zrzekłby się zarazem wiedzy i naodwrot: nie można zrozumieć pracy, bez pewnej choć wiedzy.

*Supiński.*

— Narody nieumiejące pracować i oszczędzać muszą zniknąć z powierzchni ziemi.

*Ad. Smith.*

— Oszczędność prawdziwa — to rozumna praca dla własnego i ogólnego dobra.

*Bezimienny.*

— Oszczędzać jest to zachowywać rzecz jakąś dla spotrzebowania jej w czasie przyszłym.

*Stanley Jevons.*

— W pojęciu zasobu społecznego tkwi myśl, mająca wielką doniosłość moralną: myśl czci i wdzięczności dla przeszłych pokoleń za odziedziczoną ich wiedzę i pracę, przelaną w nas samych i we wszystko, co nas otacza. Myśl ta, okazując, jak licznymi węzłami jesteśmy związani z przeszłością, oddalać musi od wszelkiego radykalizmu i nihilizmu.

*Supiński.*

— Trzeba oszczędzać rozumnie. Jeżeli wypijemy butelkę wina za 5 franków, po chwilowej przyjemności nie nam nie pozostanie. Ale kupmy za te pieniądze dobrą książkę, a dostarczać nam ona będzie przez całe życie światła i rozkoszy duchowej, i jeszcze dzieci korzystając z niej będą. Jeżeli to, co zaoszczędzimy na lakociach, strojach i innych niepożytecznych zbytkach, użytem zostanie na biblioteki i szkoły, nikt nam tej oszczędności za złe nie weźmie.

*Laveley.*

— Oszczędzanie w sprawach, w których idzie o dobro ogółu, powinno być karaniem na równi z występkiem. Oszczędność w krzewieniu oświaty, dobrobytu i w tem wszystkim, co może podnosić i uszlachetniać naród, jest rzeczą ciężko szkodliwą. Oszczędność dobrze zrozumiana zależy na hojnym, ale rozumnym szafowaniu groszem na cele produkcyjne.

*Bezimienny.*

— W interesie każdego państwa spoczywa konieczność posiadania znacznej liczby mieszkańców zamożnych, a to dla jego obrony w złej chwili, jak również dla płacenia podatków, które mają pokrywać ciężary publiczne. Pomyślność cząstek tworzy dobrobyt całości.

*Benjamin Franklin.*

— W miarę ubożenia ludności stygnie zamiłowanie życia publicznego, więc ztraca się w masach pojęcie obowiązku i odpowiedzialności społecznej.

*Rembowski.*

— Najpierwszym kapitałem jest rozum, bo on to wytworzył wszystkie inne.

*Laveley.*

— Źródłem tworzenia się kapitału nie jest sama oszczędność; daleko ważniejszą od bierniej oszczędności jest umiejętna czynność człowieka, zwiększająca produkcją.

*A. Oskierko.*

— Kapitał jest to mienie użyte dla wytworzenia innego mienia.

*Stanley Jevons.*

— Kapitał utrwalający pracę dnia dzisiejszego zmniejsza nam pracę jutra. Kapitał sam przez się nic nie wytworzy, praca nadaje mu dopiero wartość produkcyjną. Z drugiej strony praca nie może produkować obficie bez pomocy kapitału.

*Laveley.*

— W ekonomii politycznej nie potrzeba, jak w geologii, wieków, aby sprowadzić i wprowadzić zmiany wielkiego znaczenia.

*August Cieszkowski.*

— Praca jest wciąż wzrastającą, produkcyjną siłą wytwórczą całego majątku narodowego, łączącą przeszłe, teraźniejsze i przyszłe pokolenia narodu.

*Robertus Jaquetov.*

— Posiadanie ziemi daje nam punkt oparcia i wlewa w nas siłę żywotną. Snadź znali to już Starożytni, jak tego dowodzi myśl Anteusza. Aby żyć trzeba mieć pod nogami grunt własny — trzeba stać na nim mocno.

*M. J.*

— Ziemia jest biblioteką ksiąg jeszcze nieznanych, które oczekują na jasno widzących.

*Joachim Lelewel.*

**Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** przypomina pp. artystom rzeźbiarzom, iż w Styczniu 1890 r. przypada termin Wystawy konkursowej **działu rzeźby**, na którą przyjmowane będą wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medaljerstwa, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, i które poprzednio nie znajdowały się czy na Wystawie Towarzystwa, czy też na innej Wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem Wystawy. Deklaracye Komitet przyjmować będzie do dnia 15 Grudnia r. b. Dzieła nadesłane być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniej 31 Grudnia r. b. do godz. 6 wieczorem. Trzy nagrody pieniężne: po rub. 600, 300 i 200, oprócz listów pochwalnych, czyli odznaczeń, za dzieła mające istotną wartość artystyczną. Koszta transportu dzieł przysyłanych (par petite vitesse) z opłatą cła od przysyłanych z zagranicy, o ile dzieła te przyjęte będą przez Towarzystwo i Cenzurę Rządową, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy Wystawy wydaje, na żądanie, Kancelarya Towarzystwa.

**Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** zawiadamia, iż w Kancelaryi Towarzystwa nabyć można:

1-o dzieło profesora Jana Rottera z Krakowa **podręcznik perspektywy malarskiej** po rub. 6 za egzemplarz.

2-o dzieło p. Antoniego Narkiewicza-Jodko, z Wolicy **Zarys dziejów malarstwa** po rub. 18 za egzemplarz (w trzech tomach) oprawny. Połowę dochodu ze sprzedaży powyższego dzieła autor przeznaczył na budowę domu dla Towarzystwa.

3-o **reprodukcyje Towarzystwa** z lat dawniejszych po rubli dwa i po rublu za egzemplarz. Szczegółowy wykaz pomienionych reprodukcyi przejrzeć można u Kustosza Wystawy Towarzystwa.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

**TREŚĆ:** Pogawędka — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka, skreślił M. Dubiecki. — Kobiety nad brzegami Wagu i Nitry przez M. Parczewską. — Z pieśni Adolfa Hayduka (wiersz). — Błędna Ścieżka. Szkic powieściowy, M. Wołowskiego. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Myśli.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **O Własnej Mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 2 Августа 1889 года.